Tygodnik literacki

literaturze, sztukom pięknym i krytyce poświęcony.

№ 8. Poznań, dnia 22. Lutego. 1841.

Literatura zagraniczna.

Esquisse d'une philosophie,
par F. Lamennais.
Trois volumes. Paris, 1840.

(Dalszy ciąg.)

Rozwiedliśmy się obszerniéj nad metafizyczną częścią filozofii Lamennego, jeżeli ją tak nazwać można, bo według uważania samego autora, jest ona nie tylko podstawą każdéj filozofii, ale w szczególności w jego systemie jest słońcem prawdy, pod którego promieniami wszystkie inne na jaw występują. Okazał nam, jako wszystko, co jest, jest istotą, jako tą istotą jest Bóg w trójcy pojęty, jako dzieło stworzenia jest wyprowadzeniem do pojawu tego, co jest w Bogu, nieskończoności udzielającéj się skończonym formom w rozlicznéj doskonałości tworach.

Tu na ziemi ostatecznym tych tworów ogniwem jest człowiek, łączący w sobie świat nieorganiczny przez ciało, świat organiczny przez czucie i instynkt, i świat wiedzy, jako istota nieograniczonéj myśli i woli. Dla niego i przez niego jest filozofia, jemu też wyłącznie autor drugą część dzieła swojego poświęca. Za nim atoli stawi go przed sąd filozofującéj myśli, za nim z ogółu stworzenia do szczegółu przejdzie, ogarnia raz jeszcze całość działań przyrodzenia, niejako dzieje jego, i rozbiera teoryą złego, które człowiek zawsze w nich upatrywał i upatruje. Brak metody czuć się daje w całym systemie Lamennego, nie widzimy też powodu, dla czego rzecz ta, tu właśnie, na rozstaju między pierwszą a drugą częścią, przypada. Mimo to, pierwsze sto stronnic poświęcone temu przedmiotowi, należą do najgłębszych ustępów całego dzieła. Nikt dotąd tak jasno i tak logicznie nie zniweczył potęgi złego. Jako drugi archanioł obosieczem przekonywającéj myśli pokonał widmo równie straszliwe w świecie moralnym, jak potwór czarta, kreślony nastraszoną wyobraźnią ludu, i niebo i ziemię oswobodził z potęgi jego.

Dowodzi autor, jak fałszywą jest zasada dualizmu, dwóch pierwotnych duchowych silni złego i dobrego. Że istota Boga, jako jedna i nieskończona w sobie, jest tém wszystkiém, co być powinno, a zatém dobra sama w sobie, i Bóg tylko jest Bogiem dobroci. Że przeto i porządek przyrodzony, jako dzieło stwórcy, jest dobry, i że w ogólności, gdzie jest odwieczna konieczność praw i jednostajnych takich, a nie innych działań, tam pojęcie złego rozwinąć się nie może. Łamanie przyrodzonego porządku rzeczy jest to, co człowiek nazywa złém. Wynika ztąd, że złe nie wypływa z wewnętrznego ku niemu usposobienia w przyrodzeniu, że niema oddzielnego, samoistnego bytu, ale powstaje ze zewnętrznych wpływów na niszczenie, opieranie się ustawom przyrodzonym. Aby to nastąpić mogło, musi być wolność działania, czyli muszą być istoty wolą obdarzone. Od nich i przez nich tylko pochodzi złe świata, ale nie jest w naturze świata. Pokazuje się tu głębokie, acz może instynktowe pojęcie starożytności, wystawiającéj sobie pierwiastek złego w postaci osoby. Ariman, Czernoboh, Diwa, Diabeł i t. p. są upostaciowania na obraz i podobieństwo człowieka, mającego wolę czynienia złego.

Łatwo było, po takiém określeniu złego, okazać, że go nie ma w świecie fizycznym, że co nam się albo takiém wydaje, albo co w nas uczucie złego np. boleści sprawia, skutkiem jest tylko względnego, najczęściéj fałszywego sądu, lub wnioskiem równie mylnym ze złego moralnego, na złe fizyczne. Owe rewolucye w żywiołach napowietrznych, i na powierzchni ziemi naszéj, są objawem cudownéj i wspaniałéj pracowni przyrodzenia. Vous croyez voir la ruine d'un monde, vous assistez à sa formation. Le désordre apparent n'est que l'ordre même établi, maintenu par les éternelles lois, qui president au dèveloppement de l'oeuvre de Dieu.

W rzędzie wyższych istot, bo czuciem obdarzonych, złe w innéj pokazuje się już formie. Jest to dolegliwość, ból, dla którego niepokonany czuje wstręt zwierz każdy. Autor uważa, że samo usposobienie takie

nie tylko nie jest złém, ale i owszem nadając jestestwu wyższe stanowisko między tworami, jest stróżem jego żywota, i chroni go od szwanku. Że zaś zwierz narażony bywa na przypadkowości, obudzające w nim owo uczucie dolegliwe, jest to koniecznym skutkiem jego ograniczenia, skutkiem tego, że jest zwierzęciem, nie człowiekiem, nie wyższą istotą, od takich narażeń wolną. Właśnie, aby się chronił tego wszystkiego, coby i życiu jego zagrozić mogło, obdarzon jest uczuciem bólu. Jestże to złém, że ogień posiadający błogie własności ciepła i światła, pali zarażem, co mu się z pobliża nawinie? Pod tym samym względem śmierć jest koniecznem następstwem istot skończonych, jest prawem konieczności, jest ustankiem szczegółowego żywota, zaś w całém stworzeniu jest warunkiem jego życia, będącego ciągłém przeobrażaniem się kształtów.

Przystępuje nareszcie autor do właściwéj krainy złego, wstępując w świat moralny, świat różnorodnych woli ludzkich, w świat wolności i swawoli. Tu złe nabiera już idealnego znaczenia, i zowie się złém moralnym, winą, występkiem, zbrodnią. — Co to jest wola? Oto, że jestestwo samo w sobie niezawisłą stanowi całość, jest sobą, jest osobą. Tą cechą najwyżéj stoi człowiek między widomémi tworami na ziemi. Mimo tego atoli wyosobienia się nie przestaje być stworzeniem Boga, cząstką, własnością Jego najwyższéj istoty. Dwa więc są pierwiastki w człowieku: jeden go ciągnie do Boga, jako do źródła istności jego, drugi go wyosabia, oddala od Boga. Żywot ludzki polega na pierwszym, na drugim polega człowieczeństwo, i powinno jako przymiotowość, ulegać prawom żywota, jako odwiecznéj treści. Wszystkie religie, wszystkie prawodawstwa mają na celu, ustalić harmonią tych dwóch pierwiastków w plemieniu ludzkiém. Każdy z tych dwóch silni duchowych ma w człowieku swój pojaw: rozum i poznanie z jednéj strony, żądza, chuć, namiętność z drugiéj strony. Wola, jak branka, o którą się dwaj przeciwnicy rozbijają, przechodzi na własność to jednéj, to drugiéj strony, a wolą występują do pojawu myśli, słowa, i uczynki, naznaczone albo piętném żywota wiecznego — cnoty —; albo człowieczeństwa w oporze z ustawami boskiémi — wina.

Ale byłażby cnota, gdyby nie było popędu do winy? byłażby wola, gdyby nie było wolno człowiekowi i winy się dopuszczać? Bez woli zaś i popędu w dwie przeciwne strony, nie zmieniłyżby się sprawy i działania ludzkie, w sprawy konieczności, a tém samém pozbawione duchowego wyższego namaszczenia? Wola więc w człowieku jest dobrém, złém tylko jéj nadużycie. Nadużycie zaś skutkiem ociemnionéj wiedzy człowieka przewagą cielesności jego, a że tak być może, wypada ztąd, że człowiek tylko jest człowiekiem, jestestwem z ciała, jestestwem ograniczoném.

Nie ma więc złego w świecie moralnym, ale są źli ludzie, co mogąc łamać przyrodzony porządek rzeczy, łamią go, co zniżają się do zwierząt, podnoszą bunt sromotny przeciw Bogu stwórcy swemu. To złe sporadycznie po osobach rozrzucone, nie nadweręża całości praw i ustaw świata moralnego, ani wstrzymać potrafi postępu, do coraz wyższéj oświaty i doskonałości. Występek w świecie moralnym jest, jak choroba w świecie fizycznym. Siedlisko ich w osobach, ale nie w plemieniu ludzkiém.

Wszakże złe, będąc co do formy czystą negacyą przyrodzonego porządku, oporem stawianym ustawom boskim, ma byt i istnienię w działaniach i czynach manifestujących tę formę. Tym sposobem może w pewnym czasie i w pewném miejscu złe zapanować nad światem. Takie panowanie złego zowie się, albo tyranią, albo anarchią. Tyranią, kiedy wola jednego prawem mocniejszego ujarzmia słabszych, i narzuca im swoją wolę; anarchią, kiedy takiém jedynowładztwem wielość woli włada, i odpychają się nawzajem. Stan taki współeczności ma w sobie zarody upadku, i na długo ostać się nie może, nie tylko więc nie niszczy harmonii całości spółecznéj, którą mądrość nieskończona prowadzi, ale bywa częstokroć szczeblem ku osiągnieniu wyższego stanowiska spółecznego.

Tak złe stoi zewnątrz Boga i zewnątrz świata. Czyn każdy jako taki nie jest zły, ni dobry, staje się dopiero nim przez wolę człowieka. Walka złego i dobrego, jest jedynie walką woli ludzkich z sobą, a podciągnienie woli bezrozumnéj pod wolę rozumu, czyli człowieczeństwa pod żywot wieczny jest celem, do którego zmierza udoskonalenie rodzaju ludzkiego. Lamennais rozważa nakoniec, jak różne religie, a mianowicie chrześcianizm uważały ową walkę złego z dobrém. Co tu powiedział i wywiódł oddala się od przyjętych artykułów wiary. Nie poznać tu jéj wojownika, co z takim zapałem i intolerancyą nie pozwalał rozumem wzierać, co wiarą objawioném zostało. Pomnijmy przecież, że wtenczas wierzył, dziś p o z n a j e; że całe życie jego było szukaniem p r a w d y, dziś przy schyłku żywota daje nam ostateczny tych poszukiwań wypadek.

W następnych księgach drugiéj części, które tu dla ich obszerności pominąć musimy, rozwinął Lamennais antropologią i psychologią człowieka. Nie ma w tém wszystkiém szkoły, nie ma wewnętrznego organizmu, nie są to przecież potargane, dorywcze rozprawy. Przedmioty nie rozwijają się z treści, ale się nastręczają,

a jedna myśl główna nad całością panuje, i to stanowi główną wartość dzieła. Jak w poprzednich rozdziałach, tak i tu napotykamy na głębokie, rozległe a jasne pomysły autora, widać wszędzie pierwotwórczość, na żaden nie oglądał się system, ale strawiwszy je w sobie, z głębi własnego ducha i jednéj zasady, rozwija pojęcia swoje.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Literatura krajowa.

Poezya.

Wędrówka przez las.

Walką myśli utrudzony,
Wskoczył młodzian na koń wrony;
I za góry — i za rzeki,
Chciał gdzieś lecieć w kraj daleki.

W wiosennéj to było porze,
Kiedy drzewa kwitną w borze;
Gdy balsamem wiatry wieją,
A słowiki pieśni pieją.

Księżyc zeszedł — i do koła
Na doliny — knieje — sioła
Siał blask smętny i tak tkliwy,
Żeby tęsknił — i szczęśliwy.

Biedny młodzian! po kryjomu
Chciał się wymknąć, troskom z domu;
Więc na lubym, wronym koniu,
Po rodzinném pędził błoniu.

Ale chociaż kryl go z tyłu
Cień jak olbrzym — chmura pyłu,
Troski górą — z boku — przodem,
Gnały za nim korowodem.

Widać, coraz z sił opadał,
Bo i cuglem słabiéj władał;
I pod borem przy mogile,
Wstrzymał konia, krótką chwilę.

I namiętnie wzrok stęschniony
Zwrócił jeszcze w lube strony,
A jak rosa przy księżycu,
Łzy zagrały mu na licu.

O! choćby też miał kto w sobie
Serce z lodu; w takiéj dobie
Lat młodzieńczych pamięć miła
Ten lód we łzy by stopiła.

Jeździec płacząc, zniknął w borze;
Była cisza o téj porze;
Tylko kwiatów woń po lesie,
I szmer liścia wietrzyk niesie.

Tylko księżyc blask rumiany
Przez dębowe siejąc ściany,
Po nad drogą drzew konary
W fantastyczne stroi mary.

Jedna wśród téj błogiéj ciszy,
Pierś młodziana ciężko dyszy;
Walczą myśli niespokojne,
Przeszłość — przyszłość stacza wojnę.

I obrazy, to rumiane,
To znów chmurne i zbrukane,
Naprzemian się w głowie wiją,
Jak z mieniącą węże szyją.

Coraz wrony zwalnia kroku,
Coraz widniéj w jeźdca oku
Wzrasta ogień — a na skroni
Gorączkowy kolor płoni.

I dąbrowa dotąd głucha,
Bierze kształty — życie — ducha,
Zaludnia się — biega — stawia,
Jakoby w dzień zmartwychwstania.

Dęby, wiecznéj puszczy straże,
Przywdziewają szaty — twarze,
Jakich nie znał już na jawie,
Lecz jakie śnił — co noc prawie.

I jakoby do nadziei
Wrócić chciały syna kniei,
Głosem żalu i przestrogi
Szumiały doń z ponad drogi.

»Idziesz szukać, lube dziecie!
»Po przestronnym szczęścia świecie;
»O! kto nie zna go ze swemi,
»Ten nie znajdzie go na ziemi.

»Patrz na czoła te młodzianie,
»Ileż gromów padło na nie;
»Co rok przecież do jesieni
»Jakiś listek się zieleni.

»Wierzaj — i to w zaszczyt idzie,
»Cierpiąc, w oczy patrzeć biedzie.
»Pojdziesz, kto wie, czy powrócisz,
»A wiek stary ojca skłócisz.

»Tu, kołysać żal twój będą,
»Dęby, z błogich lat gawędą;
»Tu . . . lecz zostań!« grzmiały chorem.
Młodzieniec zaś jechał borem.

I znów cisza trwała chwilę,
Księżyc patrzył w twarz mu mile,
Wiatr go owiał woni strugą,
I odetchnął — nie na długo!

Bo gdy najmniéj się spodziewa,
Białopiersie — śliczne drzewa,
Brzozy, skryte pod kurhankiem,
Obskoczyły go półwiankiem.

I płaczące biorąc lice,
Ta kochanki — ta siostrzyce;
Z rozpuszczonym na wiatr włosem,
Znanym k' niemu szepcą głosem:

»Idziesz na świat, Bóg wie po co, *)
»Czego pragniesz — nie pozyskasz;
»To utracisz, co dziś ściskasz,
»Smutki młodość zakłopocą.

»Czuli ludzie są jak kwiaty;
»Przesadź je, choć w grunt bogaty,
»Mimo starań i pieszczoty,
»Zwiędną — uschną, od tęschnoty.

»A gdzież w długiéj poniewierce,
»Spotkasz drugie takie serce;
»Gdzie zobaczysz takie skronie,
»Gdzie cię takie ścisną dłonie?«

I czarownic tłum uroczy,
Młodzieńcowi wgląda w oczy;
Wiesza — czepia się u szyje,
Przy sercu się tuli — wije.

To syreny, dźwiękiem mami
To znów szlocha: »zostań z nami!«
Echa »zostań« wtórzą chorem.
Lecz młodzieniec jedzie borem.

I znów cisza na około;
Pot mu zimny oblał czoło:
Coraz stygnie krew po żyłach,
Jakby stąpał — po mogiłach.

Księżyc w krwawych brodzi chmurach . . .
Blade widma mkną po górach . . .
A w tém słowik, gdzieś pod wrzosem,
Tak grobowym zaczął głosem:

»Więc cię nic już nie poruszy,
»O ty dziecko twardéj duszy!
»Otóż ja twa matka w grobie,
»Zostań, rozkazuję tobie.«

I tu w obec pustéj kniei,
Zabrzmiała pieśń — o nadziei;
A w zachwycie drzewa — skały
Milcząc, pieśni téj słuchały.

Naprzód, łzawe jękły tony . . .
Potém, głosów miliony . . .
Potém . . . ale któż wypowie
Śpiew słowika w ludzkiéj mowie?

Dość, że młodzian odurzony,
Zczarowany — rozczulony;

*) Czterowiersz Bogdana Zaleskiego.

Mimowiedzy zwrócił koniem,
I rodzinném wrócił błoniem.

Odtąd żywot począł nowy,
Rozmiłował się w dąbrowy;
Często, pośród nocnéj ciszy,
Echo pieśni owéj słyszy.

Lecz niestety! czas ucieka;
Liść wiosenny z drzewa ścieka;
Echo dźwięk po dźwięku strada;
O! biada mu — biada! — biada! —

Pisałem w Rzymie 1840. *J. N. Jaśkowski.*

Improwizatorowie.

Jeden ze znakomitych pisarzy naszych swoim przezroczystym, jak łza stylem, opisał wewnętrzne działania, które się w duszy improwizującego odbywają (w dziele Charaktery rozumów ludzkich), ale nic nie mówi o wrażeniach, jakie improwizacya sprawia na słuchaczach, chcąc to opuszczenie (w dziele z innych względów bardzo szacownem, jakiego cudzoziemskie literatury nie mają), ile zdołać potrafię nadgrodzić, opiszę, com na własne oczy widział, czego sam byłem świadkiem obecnym, a co najlepiéj da poznać, jakie improwizacya zrobić może na przytomnych wrażenie, i jaka jest moc słowa nad duszą człowieka. Gdy tu o osoby nie chodzi, tylko o rzecz nader ciekawą i ważną; bo o moc słowa nad duszą człowieka, więc osoby nazwę pierwszém imieniem, jakie mi się na pamięć nawiną. Nie powiem, gdzie się to stało; bo i to obojętną jest dla czytelnika rzeczą zwłaszcza dla czytelnika, dla którego ja piszę, który lubi widzieć siłę duchową przewodzącą nad ciałem, co wreszcie nie codziennie widzieć się zdarza. Otóż dnia 25. Grudnia upłynionego roku zeszło się razem do 40tu osób przyjaciół lub znajomych dla obchodzeniu imienin jednego poety, którego nazwiémy sobie Adamem. Najprzód jakby dla przygotowania umysłów muzyką, do tego, co mają usłyszeć i doświadczyć przez muzykę słów, obecni artyści polscy grali na instrumentach, co umieli najlepszego — potém jeden z nich, Szczepanowski z Krakowa, grał na gitarze waryacye na nutę marsza Dombrowskiego, czém przypomniał poecie jego Jankiela sławnie na cymbałach grającego. Dla wydobycia z dusz uśpionych umysłu do poezyi i rozweselenia serc smutkiém znękanych, wychylono nie jeden kielich za zdrowie osób przytomnych. — Wtém powstaje jakiś Korsykanin i wita poetę jako wieszcza katolickiego, co mu znowu Rzym mocno przypomniało. Potém wezwany od przytomnych drugi poeta, którego nazwimy sobie

Juliuszem, wystąpił z całą dumą szatańską, którą jednakże geniuszowi Adama kładł u nóg. Mówił długo o sobie, o swoim wejściu na świat poetyczny, o zimnem przyjęciu, którego doznał; wiele pięknych rzeczy w wierszach od razu wprost i z duszy wylanych powiedział z zapałem, ale wszędzie przebijała się jego duma i zarozumiałość. — Nakoniec znużony usiadł. — Wszyscy dawali mu oklaski, choć w sercu szemrali na niego, jak na zwolenników Adama przystało, i musiało jego oko poetyczne przejrzeć wskroś naszą duszę; bo po chwili powstał znowu Juliusz, i trzema czy czterma strofami oddał hołd Adamowi; twarz jego przybrała anielską postać, bo dusza z głębi tajników na wierzch wystąpiła. Zdało się nam, iż jakaś dziwna niepojęta światłość skronie jego otoczyła. Wszyscy mimowolnie powstali, jakby bóstwo, jakie między nas wstąpiło, chcąc odwiedzić śmiertelnych. Niebawnie wychodzi z ust jego potok słów, najpiękniejszych myśli i rymów z taką siłą, gwałtownością i mocą, jak wody Wisły lub Dunajca, kiedy przerwawszy zapory z przepełnionego nalewają się koryta. Był to pęd niepowstrzymany, który nam oddech tamował. Wszyscy stali w osłupieniu, grobowe zachowując milczenie. Adam odpowiadał Juliuszowi, wyrzucał mu jego grzechy poetyckie. Oświadczył wręcz, że on nie jest poetą. Tłumaczył, co go zgubiło. Nie jesteś poetą, mówił, bo nie masz wiary i miłości. Oto jeszcze nie dawno, (mówił o sobie Adam) kiedym się zabierał mówić o literaturze słowiańskiéj przed obcymi, żaden nawet z moich przyjaciół w słowa moje nie wierzył. Wszyscy mnie odbiegli, odstąpili, rozumiejąc, żem się porwał na rzecz, któréj nie podołam, jednym się zdało zuchwalstwem gadać w obcym języku -- inni o zbytek miłości własnéj mnie obwiniali, a nie wiedzieli, że oto tu (pokazując na serce) tu Bóg złożył słowa prawdy, którą ja mocen jestem na wszelkie języki tłumaczyć. Jabym wam po niemiecku gadał, potém zwróciwszy do poezyi, mówił o powołaniu poety, unosząc się na skrzydłach swego geniuszu, porywając nas z sobą na wysokość, gdzie nigdy myśl nasza nie dosięgła, tém zawiązał, iż dla niego jedna jest tylko droga — ztąd, pokazując na serce przez miłość — tam, wskazując na niebo do Boga. Skończył, a wtém nastąpiła najuroczystsza dla poety chwila — wszyscy przytomni zalali się łzami — jeden okrzyk uwielbienia wyrwał się z piersi — wszyscy niemal na kolana przed nim padali, jakieś uczucie wzajemnéj miłości wszystkich serca ogarnęło; mało znajomi ściskali się wzajemnie, zaręczając sobie wieczną przyjaźń i poświęcenie. Dla słabości nerwów niektórych wzruszenie było za mocne. Chorzy pozdrowieli, a artyści nową w sobie poczuli siłę twórczą, nowe natchnienie. Działo się to o drugiéj po północy. Adam jeszcze raz kazał sobie zagrać na gitarze, a uspokoiwszy się odjechał. Pozostali jeszcze przez godzinę zachowali milczenie, i napróżno wzajemnie pytali się, coby w nich tak mocne sprawić mogło wzruszenie. Nie jeden resztę nocy na rozpamiętywaniu tych wrażeń przepędził. Jeszcze nazajutrz samo opowiadanie sprawiało wielkie wrażenie na tych, co na improwizacyi wczorajszéj nie byli. Ludwik na wpół omdlały, z zapłakanémi oczyma i włosami w nieładzie wraca do domu. Na ten widok truchleje żona — a on zalewa się łzami, i zaczyna jéj opowiadać, czego był świadkiem. Wielu utrzymuje, iż to było boskie objawienie, i tę osobliwszą chwilę wzruszenia, do najszczęśliwszych w życiu swojém zalicza. T a k a j e s t m o c m u z y c z n e g o s ł o w a n a d d u s z ą. Na pamiątkę tego dnia ofiarowano Adamowi puhar srebrny. Cztery Muzy wspierają czarę, któréj wierzch zdobi lew trzymający tarczę. Na niéj napis: Adamowi na pamiątkę dn. 25. Grudn. 1840. r. Na pokrywie są jeszcze inne tarcze z napisami: Wallenrod, Dziady. Sonety, księgi, ballady, grażyna, katedra słowiańska, a w około własny wiersz Adama:

Imie twoje wybiegło za Chrobrego szranki,
Między Teutońskie sędzie i bystrzejsze Franki.

N. O.

O kierunku pism czasowych.

(D o k o ń c z e n i e.)

Im przemysł na niższym stoi stopniu, tém mniejsze są potrzeby człowieka, tém więcéj sobie sam wystarcza, tém bliżéj mu złotego wieku niewinności. Atoli minęły czasy, kiedy miód i mleko same strugami spływały, i ludziom nago chodzić wolno było. Wypędzeni z raju, musieli o sobie radzić, i w miejsce utraconego, niebawem zapragnęli utworzyć sobie raj własny. Wzięli się więc na sposób. Potrzeby, wygody i rozkosze życia rozdrobnili na najmniejsze szczegóły, i nad każdym postawili część pracowników. Zdoskonaliły się takim podziałem pracy, gust, rzecz i przemysł. Jakaż to ogromna różnica oświaty i dobrego bytu tam, gdzie z wyrobów samych igieł, całe utrzymują się rękodzielnie, a, tam, gdzie lichego miasteczka mieszkaniec sobie sam rolnikiem, budowniczym, mularzem, cieślą, krawcem, zgoła wszystkiém we wszystkiém!

Taki sam jest stósunek w kraju duchowéj, co przemysłowéj oświaty. My zwłaszcza, i tu także mieliśmy niegdyś raj błogi. Z cudzoziemskich źródeł płynęły nam nauki, niby strugi mleka i miodu; inni za nas myśleli, nawet po swojemu myśleć nie wolno było. Wśród

dostatków obczyzny, bez piśmiennictwa rodzimego przechadzaliśmy się nadzy, i ujrzeliśmy dopiero nagość naszą, po zakosztowaniu zakazanego owocu z drzewa romantyczności. Jak po wypędzeniu z raju, bo z długiego błogiego uśpienia, zapragnęły i załaknęły serca i umysły, zimno doskwierło, trzeba było własnémi środkami temu niedostatkowi zaradzać. W różnych częściach kraju pozakładane naukowe i literackie pracownie, pod zbyt nieprzyjaźnémi okolicznościami nie mogły się należycie rozwinąć; tu i owdzie nawet nastąpiło bankructwo, więc pisma peryodyczne, wzięły na przedsiębiorstwo potrzeby umysłu naszego. Myśl szczęśliwa. Z małych początków utworzył się i u nas wielki transito-handel, i wyroby umysłowe wszystkiémi gościńcami, a i manowcami, rozchodzą się po kraju w tygodniowych lub miesięcznych karawanach. Z biór redakcyi, jak towary z miast handlowych, świeże i nowe rozwożą się umysłu wyroby, a czytelnik z ciekawością tych nowości wyczekuje, a dostawszy się do nich z przyjemnością w nich przerzuca.

Wszakże redakcye nie rozgatunkowały się jeszcze. Każda wszystko zakupuje, i wszystkiego u niéj dostać. Są to jak obszerne bazary, gdzie znajdujesz i zagraniczne i swojskie towary, i żelazo, i kwiaty, przedmioty i wielkiéj i małéj wartości. Ażaliżby już nie czas był, i w literaturze naśladować podział pracy na wzór zasad ekonomii politycznéj? Sądząc po treści pism czasowych, widać, że to jeszcze zawcześnie. Nie ma dosyć popytu na jedne tylko płody rozumu. Nikt jeszcze nie śmie na jeden towar się ograniczyć, pewniejsza sprzedaż, gdy ich ma rozmaitość.

Wszakże spożywacze i producenci, jak wszędzie, tak i w literaturze zostają do siebie w stósunku względnym, czyli wzajemnego na siebie działania. Należy częstokroć czytelników wywoływać. Redakcye mianowicie są jak barometra, które zmiany w temperaturze oświecenia naprzód wskazują. Niedorzecznościąby było chcieć u nas zaprowadzać pisma peryodyczne wyłącznie szczegółowéj treści, osobne dla chemii, osobne dla fizyki, osobne dla filologii, i t. p. Na to trzebaby u nas liczniejszych zakładów naukowych, rozleglejszéj oświaty. Przy powszechném kraju bankructwie w téj mierze, wiele, że się rozwinęły i utrzymały pisma czasowe lekarskie i rolnicze.

Można nawet zostać przy encyklopedyczności przedmiotów, a jednak się rozgatunkować. Byłby to ich koloryt. Najważniejszy wydaje mi się podział na pisma popularne i postępowe. Mamy to jeszcze w puściźnie po przodkach, że oświata u nas nie zstąpiła do narodu, ale nad powierzchnią jego unosi się. Jak w górach szwajcarskich, same szczyty promienieją blaskiem, oblane złotem wchodzącego słońca, a wśród nizin ćma i noc głucha, tak u nas oświata wiecznie była takiém zaraniem, i podobno, rzucając wzrok nieco na prawo, jest jeszcze i dzisiaj. Rozpędzać ten mrok jest i powinno być zadaniem naszego wieku, a pisma czasowe powinnyby je podjąć i wykonać. Jasnym zrozumiałym wykładem rzeczy można tylko zstępować do narodu. Są najzawilsze i najgłębsze prawdy, które się dadzą do zrozumienia powiedzieć. Pomylilibyśmy się jednak, gdybyśmy tylko na formie przestawali, i na niéj ograniczali popularność pisma. Nie słów lecz rzeczy, jak wszędzie, tém więcéj narodowi trzeba. Z całego zaś obszaru wiadomości, jakie najwięcéj przystają nie tylko do pojęcia, ale i do smaku narodowego; przez jakie środki i ku jakiéj myśli prowadzić społeczność na drodze oświaty, nie tak łatwo zaradzić. Ludność czytającą musi sobie redaktor na trzy i więcéj warstw umysłowych podzielić, i wybrawszy jedną, dla któréj pisze, przejąć się całkiem jéj potrzebami, jéj uczuciem, sposobem myślenia, zgoła z-istoczyć się z nią, i niejako z jéj ducha, dla ducha pisać. Pod tym względem trudniej zapewne utrzymać pismu popularność, niżeli uczoność. Znam tylko jedno pismo, co umiało postawić się na takiém stanowisku i pisać w duchu téj klassy ludu, dla któréj jest przeznaczone. Jest to szkółka niedzielna redakcyi szanownego ks. Borowicza, pismo nie dość ocenione według zasług swoich, a nadewszystko spaczone w celu, przez niepoznanie go. Przeznaczone dla czytelników, którzy czytać nie umieją, albo się dopiero głosek uczyć poczynają; potrzebuje poręki, jakiéj żadne inne pismo nie ma potrzeby, t. j. dołożenia starania, aby przez umiejętnych w czytaniu rozlewały się korzyści jego na nieumiejętnych. Opieszałość i niedbalstwo tych, których to najbliżéj tyczy, jest wielką winą. Bodajby pomnieli, że Chrystus przeklął tych, o których mówi: »byłem nieumiejętnym, a nie oświecieliście mnie.« Redaktor szkółki n. rozpoczął, jak widzimy, dzieło, na które przed nim nikt się nie odważył i wystąpił z pismem czasowém dla nieumiejętnych. Pierwsze pobłyski oświaty wśród włościan zażegnęły w nim chęć, podania ręki téj klassie ludu, i zapewne kiedyś lud ją błogosławić będzie. On pierwszą pochodnią światła zstąpił do sklepień narodu, nikt tam przed nim nie rozświecał, a przecież gmach każdy na sklepieniu wzniesion.

Na wzór taki potrzeba nam pism popularnych do wyższych także warszt społeczności, aby wpuścić światło do wszystkich komnat budynku narodowego. Klassa miejska i przemysłowa, klassa tak nazwanych obywa-

teli rolników, cała piękna połowa narodu, nareszcie młodzież ukształcająca się, oto rozmaite sfery spółeczne, z których dla każdéj innych potrzeba dla ducha żywiołów, a które dziś albo stronią od pism barwą uczoności nałożonych, albo bez ładu i pożytku wyszukują w nich, co im do pojęcia i do gustu przypada.

Encyklopedyczność najwięcéj postępowi odpowiada. Co w krainie ducha we wszyskich jego kierunkach objawiło się nowego, wyższego, to postawione obok siebie, da obraz całości temu, co się wyłącznie jednéj odnodze nauk poświęcił. Pisma postępowe niechby więc obejmowały klassę ludzi uczoną. Tu tylko krytyki w swojém miejscu. Cały koloryt takiego pisma jest krytyczny.

Raz przecie należałoby rozbrat zrobić między literaturą piękną i czystą naukowością. Tak w parze po pismach naszych czasowych widzą mi się, jak niedobrane małżeństwo: wesolutka rusokosa, z młodziuchnym wdziękiem w oku, kibić, nóżęta do polotu, zawisła na ręku poważnego wiekiem męża, z okularami na nosie, z lagą w ręku, wolnym stąpającego krokiem. Czemuż nie zostawić literaturę piękną, pismu estetycznéj barwy, i ożenić ją wreszcie, skoro jéj koniecznie trzeba męża, ze sztukami pięknémi?

Jest jeszcze wiele innych gatunków pism czasowych, coby w swoim rodzaju zająć mogły znaczną ilość czytelników, a mogąc być doskonaléj i rozległéj opracowane wpłynąć na nich korzystniéj, niżeli to dziś przy takiém zogólnieniu artykułów podobna. Liczę tu przede wszystkiém pismo samym płodom literatur zagranicznych poświęcone, pismo najnowszych odkryć, wynalazków, podróży; pismo nareszcie dające sam przegląd literatury ojczystéj.

Fałszywe podobno jest rozumienie, że naukowość jest oschła, i że jéj trzeba ku przyprawie życia, uczucia, poezyi, czego szukać tylko można w powieści i wierszu. Jeżeli tak było, oschli byli pisarze, ale nie oschła nauka. Kwiaty poezyi zakwitują nie tylko w ogrodzie wyobraźni, ale i z drzewa umiejętności woń niosą, oko miłą i serce unoszą. Myśl każda wielka i głęboka jest równie poezyą, jak myśl powabna, a jak ciało paruje wszystkiémi porami, tak duch paruje. Dziś sama filozofia, tak sucha i grudowata za scholastycyzmu, jest nadobną poezyą myśli. Przerzuć na przekonanie kart kilka dzieł Szellinga, Steffensa, Trentowskiego. Tak i najoschlejszy przedmiot zajaśnieje poezyą i życiem, zawilży uczuciem, byle życie, uczucie, poezya były w pisarzu. Umiał nasz Staszyc pisząc o ziemiorodztwie Karpatów w chropowate gór skały i w zimne głazy napuścić tego uczucia. Na uczczenie pamięci wielkiego męża niech mi będzie wolno, przytoczyć ku prawdzie mojego twierdzenia, ustęp z pomienionego dzieła współziomka naszego z Piły.

»Część najogromniejsza i najwyższa, a prawie w pośrodku rozramienień gór Karpackich leżąca, od nieopamiętałych czasów nosi imie Tatry. Mniemają niektórzy, jakoby to nazwisko pochodziło od przechodu tędy hórd Tatarskich. Przez Karpaty bowiem był wielki ślak nawału do Europy téj azyatyckiéj dziczy; któréj gdy wstrzymać nie zdołały ani gór przepaści, ani sterczące granitów ostrze, mężny ród naszych ojców, tam stawiał im tamę albo śmierć. Na tym ślaku sam przez kilka wieków, odpychał od Europy barbarzyństwo i sam zachował od powszechnego wyrznięcia albo od zbisurmanienia europejskie narody.« *Libelt.*

Posiadłości kmiece dwojakiej natury, dziedzictwo i wola.

(Dalszy ciąg.)

Szlachta wyrzekła się wspólnego rodu swego z kmieciami, którzy odtąd dla niéj są plemieniem obcym, cudzoziemczym, jak mieszczânie. Wszelako kmiecie nie pozyskali prerogatiw mieszczańskich, nie rządzili się obcym cudzoziemskim prawem niemieckim; tracą tylko prawo ziemskie, i przestają być ziemianami. Sama tylko szlachta, sam jedynie stan rycerski jest złożony z ziemian, terrigenae, kmiecie już się więcéj do ziemian nie liczą. Sama jedynie szlachta są rodowici, urodzeni, bene nati; kmiecie tylko pracowici, laboriosi. Kmiecie i mieszczanie zarówno są nazywani chłopami, a ta nazwa, jakoby hańbiąca, nie służy szlachcie.[1]) Nazwa ta nie jest nowa, ale przed czasy bywała pospolicie odnoszona do ludzi niewolnych; język pospolity dał jéj rozciągłość okrótną nadewszystko od czasu pamiętnych lat (1493. — 1511.) prawodawstwa wywołanego przez projekta Buonaeorsi.

81. Kmiecie wyzuci z własności ziemskiéj.

Dotąd prawodawstwo zachowywało język oświadczający się, że porównanie, koekwacja, jest dopełniana na korzyść swobody i wolności; odtąd zmienia się język i koekwacja zmierza do zrównania ujarzmienia.

Uważaliśmy, że prawo dominialne sprzyjalo niekiedy wyzuwaniu kmieci z posiadłości.[2]) Było to na

---

[1]) *Utrique chlopi appellantur, quam appellationem velut pro brosam non fert nobilitas.* (*Kromeri descr. Pol.*)

[2]) *De agris de quibus kmetones per nobiles depulsi et ammoti sunt, aut fuerint et per nobiles coluntur et arantur. — In signum nobilitatis nobilium qui dictos agros, qui quondam*

podobieństwo, jak król czasem odbierał szlachcie, dane starostwa i dobra.[3]) Przypadki wyzuwania kmieci z posiadłości mogły być rzadkie, ponieważ interesem było panów, mieć włości dobrze zaludnione; a jeśli kiedy się to wydarzało, było to bezprawiem i gwałtem.

Rozróżniliśmy, że pan był mocen jako właściciel rozrządzać wolą, jak mu się podobało: nigdy zaś dziedzictwem kmiecym, ziemią dziedziczoną, bo ta była jinnéj natury. Sortes, włóki, łany kmiece, były własności dziedziczne, z obowiązkami, na prawie polskim czyli ziemskim opartymi. Téj natury nic zmienić nie mogło, ani zaprowadzenie prawa niemieckiego na miejsce polskiego; ani posiadanie lub uprawianie tych cząstek przez szlachcica.

Lecz prawo 1496., które wzbroniło plebejom posiadania dóbr ziemskich, jednym pociągiem pióra odarło kmieci rolników ze wszelkich posiadłości ziemskich, bo cokolwiek oni dziedzicznie posiadali, było z prawa ziemskiego; posiadali jak ziemianie, a ziemianami być przestali. W skutek tego: ci, co nabyli ziemie niepodległe, niczym nie obciążone, powinni byli one sprzedać, albo z nich wyzuci zostali, albo stósownie do systemu koekwacijnego, ich posiadłość znalazła szlachcica pana, została obarczona obowiązkami i służbą, jakie w jego włościach obowiązywały kmieci; właściciel i własność jego zostają zrównani z jinnymi poddanymi, którzy są ujarzmieni. Wszyscy kmiecie, którzy posiadali swe dziedzictwa z obowiązkami jure polonico vel teutonico, w dobrach swych panów, dziedzictwa obowiązane, służbą, pracą, czynszem, sepem, trzymają dziedzictwo sparaliżowane przez niemożność posiadania własności ziemskiéj; owa cząstka nie jest już dziedzictwem, ale daną przez pana do uprawy; posiadają one z dopuszczenia pańskiego; jich potomstwo, jeśli po nich posiądzie, to z dobréj woli pańskiéj, z przyzwolenia, z nowego poruczenia do uprawy: kmiecie tracą swe dziedzictwa i więcéj nie są właścicielami, jak wprzody byli.

Jakoż miano kmieci dziedzicznych niknie. Pięknie to jest, że jeszcze czas jakiś w statutach bywa podnoszone urzędownie; pięknie to, gdy wielu ze szlachty nie pojmuje zaprzeczenia własności i dziedzictwa przez prawo zadanego: lecz grunt prawa tworzy to zaprzenie koniecznie, i rodzi skutki dla kmieci opłakane. Niemocą posiadania własności ziemskich, wszelkie różnice posiadania są zamięszane i zatarte: sortes niegdyś dziedziczne, nie różnią się od woli: cała niejednostajność zamyka się w obszerności udziałów i w służbie. Stan rycerski jednym zamachem chwycił podwójne łupy, wzbraniając mienia ziem mieszczanom, przywłaszczył sobie własności kmiece. Mieszczanie biednych miasteczek, sołtysi, choć nazywani dziedzicznemi, nie mogą uniknąć skutków prawa wywłaszczenia. Sołtys, młynarze, i jinni tego rodzaju posiadacze, nie mogą więcéj bez pozwolenia pana, sprzedawać, zbywać, odłużać swych własności, jak to mogli przed czasy.[4]) Za ujmą własności, poszło wnet zelżenie i gwałt wolności osobistéj.

82. Rozporządzenia policijne, kmiecie przywięzują do ziemi.

Statuta dotąd mówiły o recessji kmieci o jich wyjściu z jednéj posady, przejściu do drugiéj; przepisywały i zastrzegały prawidła, podług których recessja swobodnie się dopełniała. Zmieniając język poczynają się zajmować jich odprawą, bo kmieć nie używa więcéj swobodnego ustępu, ale musi otrzymać missionem, odprawę, pozwolenie, uwolnienie od swego pana, jakby ze służby.[5]) Bez tego szczególnego pozwolenia, bez tego wyzwolenia, kmieć nigdzie pokazać się nie może. Zabroniono jest urzędom ziemskim i starostom, wydawać paszporta czyli karty bezpieczeństwa, salvum conductum: byli owszem obowiązani dostrzegać, aby kmiecie mieli porządne dowody z właściwego sobie dominium, aby mieli paszporta, wolny pochód w jimieniu pana wydany, jako jedynie ważny: a ci, co tego niemają, są uważani za zbiegów lub włóczęgów.[6])

Prawodawca końca XVI. wieku przepisuje prawidła dla pozwalających na zmianę pobytu kmieci, nieuwłaczając zwyczajom miejscowym. Przez wzgląd na statuta wiślickie, uchwalone przed półtora wieku, obowiązuje panów pod karą, aby pozwalali, w ciągu roku wyjścia jednemu kmieciowi w ciągu roku z każdéj wsi; dodając zastrzeżenie, że takowe panów zobowiązanie ściąga się do jednego jedynie, a nie do kilku, a to, jak mówi, stósownie do woli rzeczonych statutów wiślickich.[7]) Pozwala kmieciom posyłania swych dzieci na

erunt kmetonum araverint, has praerogativas reservamus: primo, decimam propriis curribus non debent conduceri; secundo, quod dominus decimae non eligat capetia; tercio, quod nobiles non tenantur ad solvendam decimam canapi, ad quam kmetones obligantur. (*Lauda. cracov.* 1447, *art.* 24, *pag.* 245.)

[3]) Między kilko przykładami takowego odebrania w dziejach zapisanemi, głośne jest odebranie Ostrorogowi przez Zygmunta starego, co oburzało umysły w czasie wojny koszéj.

[4]) *Stat.* 1510, *vol.* 1, *p.* 374.

[5]) *De missione kmetonum pro qua diversimode et quisque pro suae terrae consuetudine obstabat, per nos definiri volumus: consuetudines super mittendis eis observatas, non esse immutandas, sed observandas ubique.* (*Stat.* 1496, *art.* 11, *p.* 343.)

[6]) *Terrigenarum nostrorum subditis kmetonibus, civibus, oppidanis, aut servis, capitanei locorum salvos conductus dare non debeant.* (*Stat.* 1504, 1505, 1543.)

[7]) *Observetur quod non plures quam unus kmeto annis singulis se de una villa in aliam transferre poterit.* (*Stat.* 1496, *art.* 4, *p.* 339; *art.* 11, *p.* 343; *art.* 46, *p.* 355.)

naukę do szkół lub rzemiosła, nim dojdą lat 12 bez uwiadomiania pana: ale jeżeliby kmieć stósownie do tego, co się nauczył, chciał się gdzie przenieść bez pozwolenia pańskiego, jego dziedzina ulega konfiskacie, a wychodzący będzie panu wydany, zwrócony.[8])

Jeden tylko z pomiędzy kilku synów, mógł mieć nadzieję pozwolenia przeniesienia się gdziejindziéj, aby służyć, szukać nauki lub rzemiosła; powinien on mieć odprawę i świadectwo, coby udowodniało, że jest jakby wyzwolony. Jeżeli kmieć ma tylko jedynaka, ten jedynak zostanie na zawsze w swéj dziedzinie, i będzie uprawiał rolę wespół z rodzicami, albo znajdzie w téjże pańskiéj włości swój pobyt, swe wyżywienie, swą służbę, gdyż rola nie może być pozbawiona rąk pracowitych, których potrzeba dla uprawy folwarków dawnych i nowo zakładanych.[9])

Prawodawcy 1511. przepisy te dla synów kmiecych znaleźli niezgodne ze słusznością i powszechną wolnością, exekucją jich zawiesili.[10]) Zawieszenie takowe objawiające zdrową prawodawców uwagę i jakiekolwiek ludzkości uczucia, przyniosłyby jim zaszczyt, gdyby coś dobrego zrządzić mogło; rozporządzenia nie zniesione, tylko zawieszone, wróciły do swéj mocy. Wszakże stawały się one i niepotrzebne, w obec tych, co mówiły o włóczęgach i zbiegach. Tych ostatnich osnowa jest taka:

Opatrzeni w świadectwa i pisma wyzwalające, jeśli w przeciągu dni trzech, nie wejdą do jakiéj służby albo warsztatu, uważani są za włóczęgów, a jako tacy będą jimani, okuci i użyci do robót publicznych miasta lub włości.[11]) Co zaś do tych, co wychodzą bez pozwolenia pańskiego, są oni zbiegami, winni być wszędzie jimani i odstawieni panu. Wydanie ma nastąpić wraz na pierwsze upomnienie się, bez żadnego trzasku sądowego, tak przez urzędy ziemskie i miejskie, jak przez każdego w szczególności mieszczanina czy szlachcica. Jeśliby się zdarzyło, że zbieg znajduje schronienie, dający mu otuchę, będzie zapozwany. Sprawa jest nagląca, i jak na rok zawity najmniejszéj zwłoki nie cierpiący stanąć winien na pierwszy pozew, a gdyby w miejscu nie było ni starosty, ni jakiego urzędnika ziemskiego lub sądowego, pisarz lub woźny zawyrokuje o wydaniu zbiega i sztrofach, otuchę zbiegowi dającego.[12])

Wszystkie te prawidła policijne przepisane były, końcem, aby zgodę utrzymać, aby ochronić kraj od złodzieji, łotrów, rabusiów; a młodzież kmiecą od złego towarzystwa i zepsucia obyczajów.[13])

Prawidła ściągające się do pobytu, przepisały zmiany jakie w nim zajść miały przez zawarte małżeństwo. Oświadczają one, że prawodawstwo chce, aby takowe były wolne; a nakazują, aby kolonista, osadnik bez posiadłości, ślubujący córkę kmiecia mającego posiadłość, przeniósł się do teścia; wzajem też, córka rodziców bez posiadłości pójdzie tam, gdzie znajdzie męża.[14])

83. Kmiecie ulegają sądownictwu dowolnemu

Prawodawcy tego czasu jeszcze raz wyrzekli, że kmiecie w pewnych razach mają się odwoływać do sądów ziemskich.[15]) To wyrażenie w konstitucjach następnych nie ukazuje się więcéj, i prawo nie ma żadnéj mocy w tym wieku, który naszą zatrzymuje uwagę. Kmieć w sądach nie może się ukazać bez pana; we wszystkich prawie zdarzeniach pan odpowiadał i działał za niego. O długi i zobowiązania, o wykroczenia i wynagrodzenia powoływano sprawiedliwości pańskiéj, któréj, jeśli zadosyć nie czynił, on a nie kmieć był drogą sądową poszukiwany.[16]) Za zabójstwo i rany kmieć nie stanął bez swego patrona. Wszędzie i zawsze, mimo rozmajitości form, pan sam działał za kmiecia. Kmieć nie mógł podnieść żadnéj sprawy przeciw panu, ni przeciw jakiemu bądź szlachcicowi, chyba że znalazł w jakim szlachcicu opiekuna i patrona, który działał za niego sam. W takim razie sprawa była między szlachcicami, a kmieć był przedmiotem lub powodem do sprawy.

Był zaprawdę sąd w każdéj mieścinie, wsi i włości (in pagis), trzymający roki w miastach przez wójtów i radnych od mieszczan wybieranych; we wsiach i włościach przez sołtysów dziedzicznych, do których gmina rolnicza dodawała ławników ze swego wyboru. Cień sądów, wieców reprezentacijnych wszędzie się uka-

---

[8]) *Kmetonum filii non poterint de haeraeditate in qua patres eorum morantur sine scitu et consensu domini sui recedere, nisi qui studendi gratia literarum anno quocunque ante duodecimum suae aetatis annum. Vel anno quocunquae aetatis causa artificiosum, exire roluerint, qui etiam dominis suis requisitis id facere debent et qui exiverint dominis nescientibus vel invitis, perdant sortem patrimonii sui et denique restitui debent.* (*Stat.* 1503, *vol.* 1, *p.* 293; 1510, *vol.* 1, *p.* 357.)

[9]) *Cum vero recessurus esset, licentiam et litteras testimoniales a dominis locorum accipiet, cum quibus tanquam emancipatus iret ad artificia et servitia etc.* (*Stat.* 1496, *art.* 14, *p.* 343.)

[10]) *Stat.* 1511, *vol.* 1, *p.* 379.

[11]) *Stat.* 1519, *vol.* 1, *p.* 390.

[12]) *Stat.* 1496, *art.* 12, 14, *p.* 343; *art.* 46, *p.* 355; 1520, *vol.* 1, *p.* 393; 1538, *vol.* 1, *p.* 524; 1543, *vol.* 1, *p.* 575.

[13]) *Stat.* 1496, *art.* 14; 1510, *vol.* 1, *p.* 357.

[14]) *Quae libera esse volumus.* (*Stut.* 1511, *vol.* 1, *p.* 379.)

[15]) *Stat.* 1505, *vol.* 1, *p.* 302.

[16]) *Stat.* 1496, *art.* 16, *p.* 344; 1420, *art.* 27, *p.* 217; *conf. Stat. mazov.*

zywał, a sołtysi lub adwokaci jako naczelnicy i obrońcy gmin, mieli działać wedle prawa. Nie brakowało prawideł do zarządzenia, ludem i dopełnienia sprawiedliwości, ale podstarości, ekonomy, włódarze i słudzy panów załatwiali wszystko wedle słuszności, jak jim się zdało, i raczéj dowolnie a niżeli stósownie do prawa; i tymto sposobem dopełniana była sprawiedliwość przez sołtysów albo przez samych panów, jich namiestników, podstarościch, ekonomów, po prostu, bez trzasku i form sądowych.[17])

Tym sposobem pany i jich powiernicy, ugadzali spory, wyrokowali, sami sobie sprawiedliwość domierzali, potępiali i karali wykroczenia i zbrodnie. Jeszcze miasteczka mogły jako tako powoływać się do wyższych prawa miejskiego sądów, ale wyrok sprawiedliwości dominialnéj był ostateczny.

84. Ciąże publiczne, pańszczyzna pomnożona.

W pierwotnych czasach Polski, mianowicie za Bolesława wielkiego, cała populacja bywając uzbrojaną, kmiecie też często byli pod bronią. Późniéj stan rycerski przyjąwszy na siebie ciężar boju, kmiecie ulgi doznali w służbie wojennéj. Za czasu jagiellońskiego, wyłącznie do uprawy roli skazani, ujrzeli się więcéj niż kiedy w ciszy i pokoju. Naprawa zamków i miejsc obronnych była zaniedbana; dostawa do magazynów zniesiona; i kmiecie doznali ulgi w starodawnych uciążliwościach. Nowe tego rodzaju, jakie zjawiać się mogły, nie przeciążały jich tyle. Wojsko stałe świeżo utworzone, nieliczne, do piechoty nie wiele ludzi potrzebowało, nie wiele więcéj do służby i pociągu przy jeździe szlacheckiéj. W razie wojny, prawo 1544. obowiązywało uzbrojenie i wyprawienie co dwudziestego, ale małe zatargi i wyprawy, długi czas nie powoływały do téj służby. Podatek ziemski uniżany lub podnoszony w miarę potrzeb rzeczypospolitéj od 8 groszy do 15 (od 4 franków 70 centimów do 8 franków 80 centimów) od łana lub włóki, nie był uciążliwy, chociaż był dodatkiem do stałego dwu groszy, niezmiernie zniżonego przez zmniejszenie się wartości grosza (do 1 franka 17 centimów). A gdyby kto powiedział, żc te podatki były wyższe od podatków wieków poprzednich, niech uważy, że to pod wyższenie wynikało z postępu zamożności kraju, i było dowodem, nie pomnożonych uciążliwości, ale rozwinięcia się rolnictwa, handlu, ludności, która posiadała coraz więcéj środków. To polepszenie stanu tłómaczy, dla czego prawo, umowy, rozporządzenia miejscowe w dobrach królewskich i stanu rycerskiego podnosiły czynsze pieniężne.[18])

Lecz prawodawstwo mówiąc o podnoszeniu czynszów, chciało oraz wyrzec o prawach a w systemacie koekwacji i dogodności dla stanu rycerskiego, za radą i przyzwoleniem senatu, z obu stanów duchownego i świeckiego, oraz posłów ziemskich, Zygmunt stary w Toruniu i Bydgoszczy w 1526., uchwala na wieczne czasy, aby każdy osadnik i kmieć, we wszystkich włościach i wioskach, tak królewskich jak szlacheckich, który dnia jednego na tydzień nie odrabiał, na przyszłość obowiązany był z każdego łanu, dzień w tygodniu każdym; wyłączając od tego rozporządzenia tych osadników, których praca została zastąpiona czynszem pieniężnym, albo zbożowym, lub jaką daniną; a ponieważ to prawo jest ustanowione dla tych, co mniéj niż jeden dzień w tygodniu odrabiali, więc nie ściąga bynajmniéj do tych osadników, którzy ze swych cząstek robili po dni kilka na tydzień.[19]) Ta przewyżka dni więcéj w tygodniu odrabiających zachowana do dalszéj koekwacji.

85. Postęp cywilizacji i nieukontentowania. — 86. Mniéj dolegliwy stan kmieci w Mazowszu. — 87. Sprawiedliwość dla kmieci mazowieckich. — 88. Rękojemstwo kmieci w Mazowszu. — 89. Ujarzmienie ludu w krajach po stronnych w owym wieku twardsze.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

---

[17]) *Reguntur a suis quaeque dominis, eorumque praefectis ac procuratoribus, ex aequo et bono, sive ex arbitrio magis, quam certis legibus, quamquam non carent tamen suo quaeque jure.* (*Kromeri descr. Pol. p.* 169.) *Habet plebs peculiaria judicia in pagis quidem simplicissima, quae vel ab advocatis judiciariis, et scabinis, vel a scultetis, vel a praefectis sive dominis eorumque procuratoribus et administris, sine strepitu et figura judicii exercentur.* (*Kromeri descr. Pol. p* 194. *ad Elzev.*) O zależności i nieodzownéj służebności sołtysów, jużeśmy powiedzieli w swojém miejscu. — Że jeszcze formy sądowe zachowywane były i być powinny, poświadcza kanon 5 synodu dissidenckiego w Poznaniu 1560., gdy mówi: »Nad to, aby panowie status porządków dobrych, regestra sierotom pozostałych, także testamentów, wiecowych wyroków i jinnych sądów odprawionych ksiągi, w majętnościach swych mieli, a wiela, nie ku złupieniu ludzi, ale ku złych karaniu, a dobrych poratowaniu, każdy rok miewali. (Józ. Łukaszewicz p. 56. wiadomość hist. o dissid. w Pozn. Poznań 1835.)

[18]) *Loco laborum, censum pecuniarum auxerunt.* (*Stat.* 1520, *vol.* 1, *p.* 394.)

[19]) *Qui prius diem in septimana non laboraverunt nobis et dominis ipsorum, de quolibet laneo unum diem septimanatim laborent et ad laborandum sint adstricti . . . hoc lex, pro his tantum constituta est qui minus quam diem in septimana nobis et dominis suis laborare soliti erunt.* (*Stat. torun. vol.* 1, *p.* 396; *bidgosc.* 1520, *vol.* 1, *p.* 394.) To prawo mówi dosyć; niewchodzę w tym razie w szczegóły, które się wyłożą niżéj, mianowicie w ostatnim perjodzie.

Przegląd pism.

Powieści i pisma humorystyczne Frydr. hr. Skarbka.

W Wrocławiu, nakładem Zygmunta Schlettera. Tomów VI. 1840. r.

(Dokończenie.)

Życie i przypadki Faustyna Felixa Dodosińskiego jest najlepsza powieść p. Skarbka. Romans narodowy, żywo zdjęty z życia przodków, pełen życia i humorystycznych sytuacyj. Mówiło się już o nim z pochwałą w kolumnach tego pisma, zanim jeszcze było wiadomém, że p. Skarbek jego autorem.

Małe przyjemności pożycia, najpóźniejsza z prac autora, ma także swoje zalety. Trafnie on odgadnął, że szczęście człowieka więcéj może polega na drobnostkach, niżeli na wielkich przedmiotach. Gonią ludzie nieraz za szczęściem umarzonéin, a pospolitych przyjemności życia nie kosztują, choć im się codzień nastręczają. Otóż w tych powszednich stósunkach ludzi, w pożyciu z tém, co ich najbliżéj otacza, upatruje autor i wykrywa szereg przyjemności i uszczęśliwienia, którego każdemu kosztować wolno, byle — czego autor nie dodaje — kłopoty mu nie doskwierały. W wielu tak upatrzonych przyjemnościach jest i poezya, a ztąd estetyczne podniesienie myśli, n. p. w Szaréj godzinie; ale przebija się także w nich i bardzo prozaiczny sarkastyzm, jak n. p. po sporéj przechadzce natrafić na ławkę, wygodnie się na niéj rozeprzeć, wyciągnąć nogi i ziewnąć całą gębą.

Jeżeli wolno przyrównać talent romansopisarza do talentu malarskiego, policzyłbym powieści Skarbka do szkoły niderlandzkiéj. Obrazy jego są wzięte z życia powszedniego, i cały przedmiot na tle tego życia osnowany. Goni wszędzie za jak najwierniejszém oddaniem wszelakich prozaiczności ludzkich, nic nie idealizuje, ale wystawia człowieka tak, jak go dopatrzył w potocznéin jego zatrudnieniu. Wielkich charakterów, a ztąd wielkich myśli i poezyi tam nie ma. Nawet w historycznych powieściach, gdzie się ku temu pisarzowi nastręczała pora, n. p. w Tarle, silnych charakterów obu Tarlów nie wydał w ich namiętnościach, w wielkości działań, ale w samo zakłócenie i spór ojca z synem obrócił. A jak sobie autor podoba w pędzlu niderlandzkim, widać zaraz z pierwszego rozdziału, gdzie nam maluje wojewodzinę smoleńską. Zda się, że patrzymy na ową staruszkę, jak tam rzeczy sobie układa, jak się przed dziećmi klejnotami z lubością przechwala, jak je potém troskliwie napomina.

Zawsze więc p. Skarbek należeć będzie do lepszych powieściopisarzy naszych. To jego główną zasługą, iż pierwszy zwrócił u nas powieść do rzeczywistych stósunków życia, na których potém Kraszewski tak wyborne płody osnował. A jego Faustyn Felix Dodosiński jak Krasickiego Doświadczyński i w późnych jeszcze latach z przyjemnością zawsze będzie czytany.

Wydanie samo w sześciu tomach nakładem Zygmunta Schlettera, jak wszystkie dzieła polskie jego nakładu, jest poprawne na pięknym papierze i pięknego druku. Życzyćby należało, aby p. Schletter zajął się wydaniem w tym formacie wszystkich oryginalnych powieści polskich, na czém dożadzbywa. Przysługując się tém wydaniem literaturze, znalazłby oraz korzyści dla siebie, bo książki takie byłyby pokupne. *L.*

Korrespondencya.

Kijów. Umierają u nas ludzie uczeni, z gruntowną nauką, którą usilnością całéj młodości i pracą dojrzałego wieku nabyli. Będąż mieli następców? ich trawą porastająca mogiła nie jestli razem grobem naszych nauk? czyli nie przyjdziemy znowu do lichych encyklopedyj w francuskim i polskim (zepsutym) języku, których nam Korn przed laty 30stu dostarczał? Takie mi snuły się myśli, gdym odebrał wiadomość o śmierci Grzegorza Hreczyny. Pozwólcie dawnemu uczniowi rzucić kilka kwiatów na skromny grobowiec swego nauczyciela i przewodnika młodości. Grzegorz Hreczyna, znakomity nasz matematyk, był rodem z Berszady na Ukrainie, synem ubogiego księdza unickiego. Brat starszy, który się kształcił w Krzemieńcu na geometrę, wziął go około 1810. r. do siebie, i uczył czego się sam najlepiéj wyuczył, to jest: matematyki. — Wkrótce młody Hreczyna sam sobie zostawiony, uczył bogatszych matematyki (bo w Krzemieńcu i bogatsi matematyki uczyli się) i tak nie wiele zarabiał, iż musiał mieszkać w pobliskiéj wiosce, i ztamtąd chodził do Lyceum. Skromny, potulny, niepokażny, pracował nad drugimi i nad sobą w cichości. Około r. 1816. przyjęty został do Instytutu pedagogicznego w Wilnie. Tam dopiero pokazało się, jak pożytecznie Hreczyna lata młodości swojéj strawił w Krzemieńcu; wkrótce bowiem zyskał szacunek Jana Śniadeckiego, otrzymał nadgrodę a wszystkich biegłością swoją w matematyce celował. Tam wyłożył dwa dzieła elementarne o geometryi wykryślnéj; a Twardowski, który był późniéj rektorem Uniwersytetu Wileńskiego, i pisał krytykę na pisma matematyczne Jana Śniadeckiego, i wybór dzieła i wykład, i język młodego matematyka pochwalił. Ztamtąd około r. 1819. został Professorem geometryi i algebry w Lyceum Krzemienieckim. Wszyscy tu z radością powitali znanego sobie wychowańca Krzemienieckiego. Rodzice z większą ochotą oddawali dzieci swoje na naukę pod Professora, na którego młodość chwalebnie przepędzoną patrzyli. Dawne jego ubóstwo było w oczach bogatych, nawet pań co tylko po francuzku mówią, jeszcze jedną zaletą więcéj, dotykalnym a pięknym dla ich dzieci przykładem. Skromny Hreczyna, choć już stanął u kresu swych życzeń, pracował równie usilnie jak dawniéj, i nad sobą, i nad powierzoną sobie młodzieżą. W nauczaniu miał on sumienną ścisłość dla Professora matematyki niezbędnie potrzebną. Wkrótce też Krzemieniec nowéj świetności nabierać począł; obok Hreczyny weszli w zawód nauczycielski Józef Jaroszewicz, znakomity prawnik, Józef Korzeniowski, poeta słynny, Michał Wiszniewski, który mając gdzieindziej dla siebie świetniejsze widoki i przez stósunki familijne zapewnioną niezależność, zamiast prawowania się o znaczny majątek, który na niego spadał, pojechał dla dalszego ukształcenia się za granicę, i tam kilka lat strawiwszy, cały się naukom jedynie poświęcił. Temi to przyjaciołmi młodości wylanemi z całego serca i duszy dla literatury i nauk Hreczyna otoczony, nowéj ochoty do pracy nabierał, i nalegany od nich zaraz się zabrał do napisania Algebry, jakož dzieło to odznaczające się Eulerowską jasnością, które w r. 1830. w Krzemieńcu wydał, jest jednym z najlepszych, i śmiało powiedzieć można, iż nie masz w żadnym języku jaśniejszéj, zupełniejszéj o algebrze książki. Wkrótce potém ożenił się z córką Michała Jurkowskiego, Professora literatury greckiéj w Lyceum Krzemienieckim (znanego w literaturze z antologii greckiéj, rozprawy o demonach, i słownika greckopolskiego, z nadzwyczajną zebranego pracą, którego już większą połowę wydrukowano w Krzemieńcu przed r. 1830. Ta praca całego życia zaginęła marnie po śmierci Gliksberga.). Wypadki 1831. r. obaliły szkołę Krzemieniecką, która w r. 1832 przeniesiona została do Kijowa. Wraz z muzeum, gabinetami i piękną biblioteką niegdyś po Stanisławie Auguście kupioną, przeprowadzili się do Kijowa i Professorowie, a między niemi Hreczyna, który już odtąd matematykę w języku rossyjskim wykładał. W r. 1838. przeniesiony został do Charkowa wraz z Józefem Korzeniowskim i Danillowiczem. Tam otrzyma-

wszy długo oczekiwany tytuł Professora Uniwersytetu, zaprosił przyjaciół swoich na śniadanie; z radości i w chęci ugoszczenia sam cokolwiek więcéj wypiwszy, dostał zapalenia płuc, i ledwie czterdziestu lat dożywszy, pożyteczniejsze dla drugich, jak dla siebie życie zakończył. Spoczywaj zacny mężu, w ziemi ukrainnéj, ojczyznie dawnych Kozaków, a gdyś grobowcem swoim liczbę znajdujących się tu mogił powiększył, rozproszeni po świecie dawni towarzysze młodości, kolledzy w zawodzie nauczycielskim i uczniowie, niech przynajmniéj pamięć twoją uczczą westchnieniem. *Józef P.*

Doniesienia literackie.

Pod napisem »nowe sonaty na fortepian« zawiera numer 10ty pisma: »neue Zeitschrift für Musik« zajmującą krytykę kilku nowszych sonat, między innemi najnowszéj sonaty Chopina, o któréj zdanie krytyka niemieckiego, nim nasze czytelnikom udzielimy, umieszczamy. »Dość zobaczyć pierwsze takty sonaty, aby wiedzieć, przez kogo napisana. Nie byłby znawcą, ktoby nie wiedział, że tylko Chopin tak zaczynać, tylko Chopin tak kończyć może, — z dyssonnansami, przez dyssonnanse, w dyssonnansach. Ileż pięknego jest w téj kompozycyi! Sonatą ona jednak nie jest, nazwanie jéj tak, możnaby raczéj nazwać swawolą, w celu wprowadzenia tych czterech dzieci najwyuzdańszéj fantazyi, tam, gdzieby pod innem nazwiskiem nie były doszły. Weźmy jakiego organistę (Cantor), przychodzi on do miasta, by sobie nót kupić. Pokazują mu najnowsze, o tych nic wiedzieć nie chce, nakoniec pokazuje mu księgarz sonatę. A! powiada w entuzyazmie, toć przecież dla mnie, to to jeszcze kompozycya z dawnych, dobrych czasów. Kupuje i ma ją. Do domu wróciwszy, rzuca się na kompozycyą, ale skoro tylko pierwszą stronę z największą trudnością i męką przebiegł, przysięga, że to przecie wcale nie jest porządny styl sonaty, ale bezbożny i szalony. Chopin jednak dopiął swego, jego sonata znajduje się w pomieszkaniu organisty, a kto wie, czy po kilkunastu latach nie urodzi się organiście jaki wnuk romantyczny, otrzepie z pyłu, a grając ją pomyśli »człowiek co to napisał, miał jednak słuszność.« W tych słowach zawiera się już na pół, mówi recenzent, zdanie nasze o sonacie Chopina, który w ogóle nic już dziś nie pisze takiego, coby kto inny był w stanie równie dobrze napisać. Pozostaje on sobie zawsze wiernym i to słusznie. Żałować trzeba, że największa część, nawet wykształceńszych fortepianistów, nie są w stanie ocenić i poznać kompozycyi, któréj wygrać nie mogą; zamiast objąć całość, męczą oni się nad każdym pojedyńczym taktem, sądząc z pojedyńczych taktów o całéj kompozycyi, a ledwie poznawszy najwydatniejsze myśli i wzajemne stosunki, rzucają ją, nazywając dziwną, zawiłą i t. d. — Chopin jak Jean Paul ma swe właściwe łączniki i parentezy, przy których nie trzeba się długo zatrzymywać, nie chcąc tracić z oka główněj myśli. Takich miejsc wiele napotykamy na każdéj prawie stronie sonaty, a Chopina często niezwyczajna i dzika pisownia akordów, utrudza tu jeszcze bardziéj rozpoznanie głównych myśli. Chopin nie lubi enharmonizacyi, znajdujemy więc często takty z dziesięciu lub więcéj jeszcze krzyżykami. Zwykle czyni on to z słusznych przyczyn; często jednak gniewa tém tylko większą część fortepianistów, sądzącą się prześladowaną przez niego trudnościami na umyślnie. Tak i sonata jest z *b-moll*, z tonu, który pewno nie może być popularnym, mając 5 *b*. Sam początek jest tego dowodem. Po początku, który na pierwszy rzut oka każdy pozna jako Chopinowski, następuje burzliwe, namiętne *allegro*, mieszczące w sobie jednak i śliczny śpiew. Zdaje nam się, że owa właściwość polska narodowa dawniejszych Chopina melodyj coraz bardziéj znika, i że śpiew jego nachyla się bardziéj przez Niemcy ku Włochom. Wiadomém jest, iż Bellini i Chopin byli przyjaciołmi, udzielając sobie na wzajem swych myśli, wpływali na swe usposobienie artystowskie. Przechylanie się to jednak Chopina ku Włochom, mało jest tylko znaczącém, gdy ukończy śpiew, znów błyska tonami swą oryginalnością, Sarmata. Na połączenie akordów, jakie znajdujemy w pierwszéj melodyi drugiego oddziału, nigdyby się Bellini nie był odważył. Zakończenie pierwszéj części także nic w sobie nie ma włoskiego. Przypomina mi się przy téj sposobności trafna uwaga Liszta, iż Rossini i Spółka każdą kompozycyą kończą z jakim »*votre trés humble serviteur*.« Chopina zakończenia zwykle całkiem coś przeciwnego wyrażają. Część druga jest tylko dalszym wyprowadzeniem myśli części pierwszéj; odważna, jenialna, fantastyczna. *Trio* pełne marzenia i uczucia, całkiem Chopinowskie. *Scherzo* jak wiele Scherzów Beethovena, jest tylko z nazwy Scherzem. Następuje ponure *Marcia funebre*. Sądzimy, iż w miejscu jego *adagio* jakie n. p. z *des* piękniéj by się wydawało. Co pod nazwą *finale* kończy kompozycyą, jest raczéj urąganiem się, aniżeli kompozycyą, a jednak i w téj niewdzięcznéj i niemelodycznéj części owiewa nas jakiś dziwny, tajemniczy, ponury duch, który wszystko to, coby mu się opierać chciało, wstrzymuje, a każdy jak zaczarowany aż do końca słucha, nie ośmielając się wyrazić swéj nagany, ale też nie chwali, bo co słyszał, nie było muzyką. Tak się kończy sonata jak zaczęła, tajemniczo, podobna Sfinxowi z drwiącym uśmiechem.« — W tymże samym piśmie Nr. 7. znajduje się pochwała sonaty Geniszty. Kompozytor ma być naszym rodakiem.

Pan H. Skimborowicz ogłosił prospekt na nowe wydanie »Amerykanka w Polsce« Al. Tyszyńskiego. Wydanie to składać się będzie z 3 tomów, na pięknym papierze drukowane, kosztować ma tylko 10 Złp.

Zbiór pieśni p. N. Wysockiego wyszedł w tych dniach w Warszawie.

W Warszawie wydaje od 1. b. m. pan pr. Piwarski »Album cynkograficzne.« Pierwszy rysunek tego Album w stylu rodzajowym wyobraża Litkup na Pradze.

Księgarnia Żupańskiego wyda wkrótce w drukarni Dekkera i Spółki »Tabelle synchronistyczne do historyi polskiéj.«

Najnowsze dzieła.

Dzieła W. Shakspeare: Tom II. Makbet, Król Lear i Burza. Cena T. 1—3. rs. 6 k. 75. Wilno, u Glüksberga. 1840.

Podpisy i wzory pism sławnych w Polsce osób w faksymilach, z dołączeniem krótkich biografij, przez K. Jabłońskiego. Zeszyt 1. i 2. Lwów 1840., nakładem B. Jabłońskiego. Cena obudwóch zeszytów Złp. 5. W Poznaniu u W. Stefańskiego.

Starożytności galicyjskie zebrał i wydał Żegota Pauli 1840. w Lwowie. W Poznaniu u Stefańskiego.

TYGODNIK LITERACKI wychodzi co tydzień w Poniedziałek. Prenumerata wynosząca półrocznie 2 Talary przyjmuje się po wszystkich Królewskich Pocztamtach i księgarniach krajowych i zagranicznych.

Redaktor: *A. Woykowski.* Czcionkami *W. Deckera i Spółki.*